



## TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

### Nowe-Miasto nad Pilicą.

Nowe-Miasto leży w jednej z najbardziej malowniczych okolic gub. piotrkowskiej, na płasko-wzgórzu dotykającym brzegów Pilicy, a wzniesio-nem na 540 stóp nad poziom morza. Miejscowość to bardzo zdrowa, prześlicznie zadrzewiona i nę-cąca oko widokiem rozległych łąk, które zalegają brzegi Pilicy kobiercem przepysznej zieleności.

Jest tu jeden z najpiękniejszych parków w kraju. Składa go taras górny i dolny, oba scho-dami z sobą połączone; z tarasu rozciąga się widok na Pilicę, która płynie skrajem parku, na lesiste jęj brzegi, na trawniki wreszcie i kępy drzew zale-gające park dolny.

Zakład wodoleczniczy istnieje tu od r. 1874, dzięki przedsiębiorczości Dra Bielińskiego, który zużytkował piękne i zdrowe położenie Nowego-Miasta, wyborne tutejsze powietrze, napływające ze szpilko-wych lasów, możliwość używania orzeźwiających kąpeli w wartko płynącej Pilicy, postawił szczupły z początku zakład na sto-pie jednego z najlepiej urządzonych w kraju. Oprócz właści-wych łazienek i różnych przyrządów do kąpeli leczniczych, jest tu sala do zebrań i tańców, czytelnia, domek na pomiesz-czenie ubogich studentów, budynek dla gimnastyki i dla war-statów, przy których z polecenia lekarzy pracują chorzy.

Zakład cały rok otwarty, w lecie wyjątkowo jest przyje-mnym z powodu ślicznego położenia Nowego-Miasta i niezwy-kłej malowniczości okolic.

Uprzejmniają także pobyt wycieczki w okolice.

Nad brzegami Pilicy znajdowano też nieraz starożytne zabytki niezmiernie cenne dla archeologii; pomiędzy innemi z kurhanu, leżącego w obrębie dóbr Łęgonice wydobyto urny,



Nowe-Miasto nad Pilicą.

łzawnice, szczątki kamiennęj broni i tym podobne przedmioty, w zamierzchłej przeszłości wyrabiane.

### Wyjątki z Książeczki Władzia.

podała **Z. Morawska.**

(Dokończenie).

I znowu umilkła, a ja w myśli przyznawałem, że to wielkie nieszczęście, i pomimowoli przyszła mi na myśl Józia, która nawet przypomnieć sobie nie mogła matki, bo była bar-dzo maleńka — rzekłem więc:

— Ale mam siostrę w wieku pani, która wcale mamy nie pamięta.

— A ile siostra pana ma lat?

— Zdaje się że ośm.  
 — O, to ja jestem starsza, skończyłam dziesięć.  
 — Wielka mi figura! — pomyślałem sobie i chciałem odejść, gdy nagle mnie zapytała:  
 — A jak imię siostrze pana?  
 — Józia...  
 — Żartuje pan!  
 — Dla czego?  
 — Bo i mnie Józia.  
 — To i cóż stąd?  
 — Bo to tak zabawnie: ja mam brata Władzia, a pan ma siostrę Józję.

— Cóż w tem zabawnego? — rzekłem i chciałem skończyć tę niemiłą rozmowę. Boć to nawet śmiesznie, że tak długo z takim dzieciakiem rozmawiał, gdy ta znów mnie zagadnęła:

— Czy pan kocha swoją siostrzyczkę Józję?  
 — Jak jest grzeczna, to ją kocham, ale małe dziewczynki bywają czasami takie wtrącałskie, że trzeba im nieraz dać moralną nauczkę.

I wstałem zadowolony, że tej dziewczynie mógł przypieć. Widać wszystkie one takie wtrącałskie.

Zaledwie jednak odszedł żal mi się jęj zrobiło, bo widziałem że bardzo się zasmuciła i w kącik wsunęła. Co mi tam było gadać o moralnej nauce? Zacząłem znów tańczyć i tak jakoś się zdarzyło, że moje damę posadziłem w tym samym kąciку, gdzie ta Józia siedziała.

Wkrótce ową pannę wzięto do tańca, a ja zmęczony siedłem na pustym krzeselku, Józia jeszcze więcej wsunęła się w kącik i patrzyła smutno przed siebie.

— Czemu panna Józia taka smutna?  
 — Nie mam czego być wesołą.  
 — A niedawno tak pani ładnie ze mną rozmawiała?  
 — Tak, i powiedział mi pan, że jestem wtrącałska.  
 — Ależ ja mówiłem o mojej siostrze...  
 — Powiedział pan o wszystkich małych dziewczynkach. I nadąsawszy się chciała odejść.

— Ależ broń Boże! któżby chciał grzeczne panienki obrażać? — tłumaczyłem się zatrzymując ją nie wiedzieć po co. I nawet posunąłem uprzejmość swoją, że ją obiecałem uczyć ślizgać się, bo w końcu opowiedziała że nie umie, a brat jęj jest w innym mieście, tylko ona wychowywać się będzie u państwa Z. Rozgadaliśmy się, a ona znów nie wiedzieć skąd zapytała:

— Czemu pan we fraku?  
 — Bo na bal zawsze się przychodzi we fraku.  
 — A inni bez fraka?  
 — Bo im się tak podoba — rzekłem prostując się i poprawiając na sobie ubranie.

— Wszyscy śmieją się z tego fraka...  
 Krew mi uderzyła do głowy... a gdyby to był chłopiec! dziewczynie dałem pokój. Rzekłem tylko:

— Niech się śmieją! może się i panienka śmiać!  
 Wstałem i odszedłem, no i naturalnie nie zbliżyłem się już do tej Józji. Ale był zły i gdyby mi się kto nawinął, byłbym zrobił z pewnością awanturę.

5 Maja 1871 r.

Zaniedbałem na czas jakiś dziennik, ale bo też i pracy mamy teraz niemało: zbliżają się egzamina, trzeba przejść koniecznie do piątej, a tu jeszcze licho mnie podkusiło z tą francuszczyzną, ba i muzyką. Ale to ta matka Ludwisia niby na nic nie namawia, a jednak coraz to mnie więcej do pracy popycha. Nieraz jestem zły na nią, ale nie mogę jęj nie kochać, bo jest tak dobra dla mnie jak dla własnego syna, nawet mnie czasem popieści.

Ponieważ uczyłem się kiedyś grać na fortepianie, tak jakoś wmówiła we mnie, że się zaczął uczyć na nowo. Mówiła, że muzyka uszlachetnia i od wielu złych rzeczy odwodzi i tym podobne rozmaite rzeczy. Zacząłem więc sobie brzdąkać. Że zaś gdy byłem raz zły na jednego z profesorów, za-

cząłem wygrywać sobie com umiał i jakoś powoli się uspokoiłem, pomyślałem więc sobie, że to dobrze jednak umieć coś zagrać, bo przynajmniej człowiek ma na co złość spędzić, wali w fortepian i kwita!

I oto biorę lekcye, a matka Ludwisia zawsze mi umie przypomnieć, żebym sobie czas znalazł na muzykę.

Czemu ja się tak pozwalam zapędzać do pracy!

9 Maja 1871 r.

Znów ta sama historia co z teatrem. Wczoraj zastała mnie pani Mrukowiecka nad czytaniem. Nie spytała się nawet co czytam, ale nie wiem jakim sposobem dowiedziała się tytułu. Książka była bardzo zajmująca, ale wiem, że wszyscy starzy ją potępiają. Schowałem więc książkę, a i tak matka Ludwisia dokonała swego. Gdyśmy wyszli na spacer, zaczęła z nami rozmawiać o literaturze, mówiąc że dużo jest rzeczy niewłaściwych dla młodzieży. Mówiła, że opisy wszystkich zbrodni tylko pobudzają imaginację i wskazują drogę do nich, a o ile książka pięknie napisana wpływa bardzo dodatnio, o tyle takie śmieci literackie jak „Tajemnice dworu hiszpańskiego” mogą tylko skrzywić wyobrażenie o życiu i obyczajach, i dać najfałszywsze pojęcie o historyi.

Właśnie to był tytuł owej książki, którą z takim zajęciem czytałem. Bronilem tej sprawy bardzo gorliwie, a ona rzekła:

— Wielkobyście mi przykrość zrobili, gdybyście czytali niewłaściwe dla was książki, sądzę, że żaden z was tego nie uczyni.

Zarumieniłem się i pomyślałem sobie:

— Aha, prawda! ja już połowę Tajemnic przeczytałem! doczytam do końca, i cóż mi się stanie?

Gdy jednak przyszedłem do domu i wziął się do czytania, dziwnie mi się jakoś dalszy ciąg nie podobał, a co najgorsze, przypomnieli mi się teatr, po którym przyrzekłem sobie, żeby nieczem matki Ludwisia nie rozgniewać.

— Trzeba dotrzymać słowa — pomyślałem — wszak jestem mężczyzną!

Odniosłem więc książkę nie doczytawszy jęj.

I sam nie wiem, czy to się nazywa brakiem woli, czy silną wolą.

Matka Ludwisia kieruje mną, jak jęj się podoba, widzę to doskonale; muszę jednak przyznać, że zawsze mnie wiedze ku dobremu. Kiedy jęj dam słowo zawsze go dotrzymam, ale jeżeli sam co zamierzam zrobić, zawsze mi jakoś wyperswadować potrafi.

Mam więc silną wolę, aby dotrzymać słowa, gdy co obiecuję, ale sam nic przeprowadzić nie umiem. Naprzykład i z tą książką, oddałem, a teraz prawie zły jestem na siebie. Mógłbym ją wziąć drugi raz od kolegi, ale mu powiedziałem, że to głupstwo wierutne, szkoda czytania, że niema wartości literackiej, że jest bez talentu napisana i t. p. Nagadałem tak, że aż się zdziwił i powiedział:

— No, no, toś ty krytyk! Ja tam tego wcale nie widziałem!

Nie wezmę więc, niech wie, że ja się znam na literaturze!

Chociaż doprawdy, to śmieszne, żeby nam prawie dorosłym dyktowano, co mamy czytać. Już to zwykle starszym zdaje się, żeśmy wiecznie dzieci w pieluchach i możemy czytać tylko Robinsona Kruzoe albo Przyjaciela Dzieci.

25 Maja 1871 r.

To ci dopiero uciecha! Józia ma być na przyszły rok u pani Mrukowieckiej.

Ucieszyłem się tem serdecznie, bo wiem o tem, że matka Ludwisia bardzo dobrze moję siostrę wychowa. Powinienem przecież dbać o to, bo jestem jęj bratem.

A to dziwna rzecz, że ojciec który jest taki rozumny, tak nas kocha, i którego my oboje kochamy, nie umie jednak tak na nas wpływać, jak matka Ludwisia. Tak, ale ojciec ma tyle rozmaitych interesów, nie może więc zajmować się Józją. Zresztą pamiętam, że gdzieś ja czytałem, iż kobiety umieją najlepiej wychowywać dzieci i że wpływ ich zaw-

sze znać w wychowaniu każdego. No, ja nie jestem dzieckiem, ale dla Józki będzie to bardzo dobrze, a zresztą matka Ludwisia taka dobra, taka rozumna, że chociażem mężczyzna nie-raz ję posłucham. Cieszę się więc, że Józka będzie u nas.

15 Lipca 1871 r.

Dziwnie to na świecie. Ojciec mój bogaty, a ciągle pracuje; mnie wciąż mówi o tem, że im kto więcej ma majątku, tem więcej powinien się uczyć, aby zrozumiał swoje obowiązki, a rozumnie i z pożytkiem rozrządzał swoim majątkiem. Wszędzie więc tylko praca i praca!

I tak, Ludwisi który musi kiedyś pracować na swoje i matki utrzymanie, uczy się, ja się uczę, dzieci robotników się uczą i ciągle w kółko.

Rozumiem że uczyć się trzeba, bo przecież nie można niewiedzieć, co się dzieje na świecie i być ośłem, ale na cóż majątek, jeżeli ciągle trzeba pracować?

18 Lipca 1871 r.

Oho, dziś już nie powiem, na co majątek, jeżeli ciągle trzeba pracować.

Przyjechał do nas dawny znajomy ojca, niewiele od niego młodszy, miał podobno duży majątek, ciągle więc tylko bawił się, jeździł za granicę, hodował bardzo piękne konie i psy, miał liczną służbę, a dziś няма nic! Szuka jakiegoś miejsca, jakiegoś zarobku.

Ale cóż, przy fabryce pracować nie może, bo się w tym kierunku nie kształcił, urzędu żadnego dostać nie może, bo za młodu nigdy nie urzędował. Nauczycielem być nie może, bo niczego dokładnie się nie uczył, rzemiosła też żadnego nie umie.

Gospodarstwa mu nikt powierzyć nie chce, bo każdy powiada, że jeżeli swoje stracił i cudzem zarządzać nie potrafi. Słowem, jest do niczego. Ot, ojciec mu dał jakieś zajęcie, to jest, ma rachować, ile codziennie wozów towarów fabryka wysyła.

Zdaje mi się, że mu ojciec umyślnie tylko dał to zajęcie, żeby go nie upokarzać, iż będzie miał z łaski kąt i kawałek chleba. Rozumiem teraz, że człowiek bogaty może i powinien używać majątku, ale tak nim zarządzać, żeby nie tylko miał sam, ale i innym jeszcze dopomógł.

Najlepszy mam wzór w moim ojcu: około fabryki żyje tylu ludzi, przemysł krajowy się wznosi, kraj się bogaci, bo za wyroby nie potrzeba wywozić pieniędzy za granicę. A prztem ojciec, jako człowiek bogaty, kupuje piękne obrazy, hoduje konie, ma bardzo piękny ogród. Ileż to więc ludzi korzyszt z tego, że on umie utrzymać swój majątek! Sam ma przyjemność, wspiera sztuki i przyozdabia kraj budując fabryki w mieście, domki i szkołę dla robotników, dom piękny na wsi i utrzymuje ogród jakiegoś nigdzie niema w okolicy.

To też, kto tylko przejeżdża zawsze powiada, iż znać, że tu mieszka rozumny, zabiegliwy i dobry obywatel kraju.

— Tak, ja muszę być takim jak mój ojciec!...

#### ZAKOŃCZENIE.

Na tem się kończy książeczka Władzia. Jest w niej dużo jeszcze kartek zapisanych, niepodobna jednak wszystkich drukować. Raz, że nie wszystko byłoby interesującym, po- wtóre że są sprawy czysto rodzinne, których dzisiejszy pan Władysław nie pozwolił nam szerszej publiczności ogłaszać. Powiemy jednak to, co nam dozwolone.

Otóż, ów Władzio, po skończeniu szkół gimnazjalnych wyjechał do szkoły farbiersko-tekackiej na Szląsku, potem zwiedzał znaczniejsze miasta handlowe w Europie. W jednem mieście zapoznał się z bratem owę Józki, którą poznał na wieczorku, a potem uczył ślizgać się. Dziwnym trafem okazało się, że ten brat Józki był właścicielem znalezionęj przez niego przed dziesięcioma laty książeczki, na której matka prawie umierającą ręką nakreśliła kilka wyrazów. Właściciel poznał pismo matki, a znalazca, który jakkolwiek dorósł, nigdy się z tym skarbem nie rozłączał, oddał ją choć nie bez żalu prawemu właścicielowi.

Książeczka ta zbliżyła ich bardzo. Zbliżyła ich zaś jeszcze więcej praca, albowiem właściciel owę książki skończył szkołę handlową i nasz dawny znajomy zaprosił go do swęj fabryki, w której objął część handlowo-administracyjną. Ojciec bowiem naszego znajomego, dawnego Władzia oddał mu fabrykę, a sam zostawił sobie tylko niewielki dom i ogród, gdzie odpoczywając, patrzy na dobre rzędy syna.

Zresztą dawny Władzio z bratem Józki spokrewnili się nawet, bo ta mała Józka, która go kiedyś tak niecierpliwiła na wieczorku, wyrosła na bardzo miłą i rozumną panienkę i została jego żoną.

Ludwis jest skończonym inżynierem, że zaś przyjaźń zawarta na szkolnej ławie wcale się nie rozerwała, najlepszym tego dowodem, że objął miejsce inżyniera ze znaczną pensją przy fabrykach dawnego swego przyjaciela. Roboty zaś prowadzi tak, iż z dalekich okolic zjeżdżają się dla obejrzenia rozmaitych ulepszeń młodego pracownika. Pani Mrukowiecka nie rozłączyła się z synem, owszem powiada, że ma teraz syna i córkę, bo Józka, siostra Władzia, która się u nięj wychowywała, została panią Ludwikową.

Żyje więc cała rodzina zjednoczona ową książeczką Władzia, a fabryki młodego przemysłowca wspierane przez dwóch jego przyjaciół, są prawdziwą ozdobą kraju.

## Z WYSPY ATLANTY

Wyczytała przez drobnowidz i przepisała

Zofia Urbanowska.

(c. d.)

Redakcja Wieczorów Rodzinnych do Janka sieroty.

Warszawa dnia 1 Września 1890 r.

Kochany Janku.

obył dłuższy na Atlantycie od ciebie samego zależy, stryj twój bowiem, rad że ci służy klimat wyspy, pragnie tego bardzo, a dyrektor szkoły do której uczęszczałeś, oświadczył, że tylko zdrowego zupełnie chłopcę może przyjąć napowrót. Co do naszych czytelników, ci dość chętnie czytają twoje listy, a Redakcja może tylko pochwalić sumienność i pośpiech swego korespondenta. Jeżeli więc Jego Królewicza Mość nie ma nic przeciwko temu



abyś został jeszcze czas jakiś, i jeżeli to z twoją chęcią się zgadza, to zostań i pisuj nadal do nas listy, ale pisuj je w dzień, nie w nocy, bez gorączkowego pośpiechu, bo jak widzieć możesz z nadesłanych ci numerów Wieczorów, mamy ich jeszcze spory zapas. Pismo nasze nie może być wyłącznie poświęcone korespondencyjom z zagranicy; musi pamiętać przedewszystkiem o sprawach krajowych i uwzględniać ważniejsze zdarzenia chwili obecnej, dla tego listom twoim nie możemy dawać miejsca w każdym numerze. Bardzo to pię-

knie, że starasz się gorliwie spełniać przyjęte na siebie obowiązki, ale nie trzeba aby to szkodziło twemu zdrowiu. Nie należy przesadzać nawet w dobrem, ale starać się zachować we wszystkim właściwą miarę.

W listach twoich jednakże odczuwamy brak jednej rzeczy: nie ma w nich żadnej prawie wzmianki o ludzie atlantyjskim, a nie podobna przypuścić aby tam żyli sami tylko panowie. Zwyczaj tego ludu, obyczaje, praca i sposób życia, miałyby dla czytelników naszych równie żywy interes jak opisy monarszych rezydencji. Uderza nas także i to, że opowiadasz nam o samych tylko zabawach. Czyż na dworze tak szlachetnego monarchy jak Zielonko, nikt nie pracuje? Jestże to kraina bawiących się tylko próżniaków? Spodziewamy się, że w następnym liście odpowiesz nam na to pytanie, kochany Janku; tymczasem bądź nam zdrow i niech cię Bóg ma w swój opiece.

*Redakcyja.*

### Janek sierota do Redakcyi Wieczorów Rodzinnych.

*Różany gaj dn. 3 Września 1890 r.*

Szanowna Redakcyo!

Darować sobie nie mogę, że przez swoją niezręczność czy zapomnienie, zle dałem wyobrażenie Szanownej Redakcyi i czytelnikom Wieczorów rodzinnych o szlachetnych władcach Atlanty. Nie wspominałem rzeczywiście o wielu rzeczach, lecz nie chciałem za bardzo obciążać szczegółami moich listów i tak już dosyć długich. Do bliższego zetknięcia się z ludem, nie miałem sposobności, ciągle zajętem będąc służbą przy dworze i nauką krajowego języka, w którym coraz więcej wprawy nabieram, ale widzę ten lud przy pracy ogrodniczej i rolniej, boć całe państwo Zielonki jest jednym wielkim ogrodem. W państwie Pióropuska widziałem pasterzy z licznymi na polach stadami, a w państwie Kryształka widocznie lud zajmuje się przeważnie górnictwem i przerabianiem metali, bo przejeżdżając przez góry widziałem wożących rudę górników, widziałem wielkie kominy fabryk i słyszałem huk młotów. Z małym wyjątkiem, wszyscy krajowcy są silnie zbudowani i wyglądają zdrowo, co zawdzięczają nietylko wybornemu klimatowi wyspy, ale ogólnie panującemu tu dobrobytowi. Po minerały Kryształka, po rośliny Zielonki i po zwierzęta Pióropuska, przybývają okręty z najdalszych stron świata, co takie daje dochody, że ministrowie skarbu mają zawsze kłopot co robić z pieniędzmi i corocznie zmniejszają podatki—w skutek czego panuje na wyspie ogólne zadowolenie, a na polach, łąkach i po górach, rozlegają się wesołe pieśni. Między władzcami i ludnością istnieje prawdziwie patryarchalny stosunek, królewicze bowiem, a zwłaszcza królewiczowe, opiekują się poddanymi z rodzicielską troskliwością i nieraz zdarzyło mi się widzieć, jak prosta wyrobnicza szła z troską swoją zwierzyć się monarchini i bez trudności otrzymywała posłuchanie. Naturalnie, jak nigdzie na świecie niema bezwzględne szczęścia, tak i tu ludzi dotykają ciężkie boleści z prawa natury wynikające, jak strata ukochanych osób — i wtedy to królewiczowa Jagódka anielską rozwija dyplomacyę, aby zboliałych pocieszyć i ukoić.

Na dworze naszym nikt nie próżnuje: królewiczowa zajęta jest przeważnie wychowywaniem córeczki i obowiązkami swego stanowiska, ale prztem wszelkimi zajęciami kobiecego nie gardzi. Widzę ją często przy igle, a raz byłem obecny jak przędąc na kołowrotku z różanego drzewa, o szprychach w kole przybranych kwiatami, przyjmowała jednego z zagranicznych posłów.

Królewicz sam bardzo pracowicie dzień przepędza, bo nietylko zajmuje się sprawami państwa i objeżdża codziennie swoje ogrody, ale wiele godzin spędza nad mikroskopem, badając życie roślin, zwłaszcza skrytokwiatowych i podobno przygotowuje do druku o nich dzieło. Wzbogaca on też ustawicznie zielnik flory wszechświatowej, na pomieszczenie którego buduje się oddzielny pałac. Królewicz Pióropuszek zajmuje się podobno bardzo badaniem mowy zwierząt, do czego używa fonografu i ma już nawet spisane najpiękniejsze pieśni słowika—a królewicz Kryształek pracuje nad dziełem ma-

jącym dowieść świata, że minerał żyje, nad czem podobno zastanawiały się już najpotężniejsze umysły świata naukowego.

Codziennie teraz biegam na moczary. Wprawdzie obowiązki moje jako przybocznego paza, nie wiele mi pozostawiają czasu, ale zawsze udaje mi się wymknąć choć na chwilę i uważam, że moje odwiedziny nie są cudzoziemcowi niemiłe, że zaczyna mnie nawet troszkę lubić — bo gdy dnia jednego nie byłem, zauważył to zaraz i wypyttywał mnie o przyczynę. Kiedyindziej znowu przyszedłem już późno wieczorem, a on nietylko spostrzegł moje opóźnienie, ale powiedział mi nawet że mnie oczekiwał, że był o mnie niespokojny, a mnie aż serce uderzyło z radości na te niespodziewane wyrazy. To tak słodko czuć się komuś potrzebnym, tak słodko być oczekiwanym, a od czasu jak nie żyje moja mateczka, nikt jeszcze mi tego nie powiedział...

Z początku codziennie w mojej obecności bywał milczący, ponury, i raczej znosił moje towarzystwo niż go pragnął, raczej pozwalał mi mówić niż sam się odzywał. Po chwilowem uniesieniu jakie mi pierwszego dnia okazał, zamknął się potem w sobie niby ślimak w skorupie, ale to mnie nie zraziło. Nie narzucałem mu się, ale korzystałem z każdej sposobności by mu usłużyć, pamiętny na przysłowie o kropli wydrążającej kamień. No i dzięki Bogu lody zostały złamane! Cudzoziemiec się powoli rozruszał i mówić zaczął, choć nigdy jeszcze żadnem słowem nie wspomniał o przeszłości. Ja też nie mówiłem mu o mojem sieroctwie, ale opowiedziałem w jaki sposób przybyłem na Atlantę, jak znalazłem żabę latającą i dostałem w darze Farysa, o metalowej siatce podarowanej mi przez Kryształka i jak się to stało że jechałem na złotym koniu. Raz nawet w tej siatce przyjechałem na moczary, i w jego obecności wyprawiałem różne harce na moim Farysie. Cudzoziemiec który zaledwie zwrócił uwagę na siatkę, chociaż blizczyła dyamentami, chwalił bardzo konika, a musiał być znawcą, bo spostrzegłem nawet iskrę zapалу w jego oku. On też pokazał mi swój majątek: oprowadził mnie po całej osadzie, założonej na kawałku wykarczowanego lasu, który otrzymał od Zielonki. Ma on tam zboże, jarzyny i owoce. Grunt, jak uważałem uprawnny jest starannie i dobrze się na nim rodzi. W pracy pomaga mu dwudziestoletni chłopak, a cały inwentarz stanowi koza, konik cisawy i pies wyżeł, bardzo do pana przywiązany. Człowiek ten rad chodzi ze strzelbą, bo był niegdyś leśniczym, a pozwolenie polowania wyrobił mu Zielonko u brata Pióropuska. W chwilach wolnych lubi się zajmować rzeźbą na drzewie, czego nauczył się, jak powiada, z nudów i rozpacz, siedząc długie lata samotny między czterema ścianami. Obecnie pracuje nad ramkami dla księżnej Primuli, mającemi tworzyć płataninę trzech dziobów, jak już o tem pisałem. U góry będzie motyl wlatujący, jak chciała księżna, a ruch jego skrzydeł jest tak naturalny, że gdyby nie barwa drzewa, możnaby go wziąć za prawdziwego. U dołu ramek jest gniazdeczko, z którego wyglądają trzy małe lenkie jaskółki.

Wiedząc że lubi kwiaty, zanoszę mu zawsze wiązkę, ale nie tych wspaniałych, jakich jest pełno w ogrodach i cieplarniach Zielonki, tylko polnych i łąkowych, bo te mu są najmilsze. Uważam że stokrotki lubi tak samo jak ja, i że zamysla się często na ich widok. Wczoraj poszedłem tam nieco wcześniej niż zwykle, ale nie zastałem go w domu, a chłopiec powiedział mi, że pan jego zabrał z sobą psa, poszedł w las ze strzelbą, i pewnie nieprędko wróci. Zostawiłem więc bukiet na stole w ganku i wracałem powoli do domu, smutny że go nie widział, bo coraz silniej przywiązuję się do tego człowieka i widzieć go codziennie, stało się dla mnie prawie potrzebą. Wracając, zrywałem jeszcze stokrotki, niezapominajki i uwiłem z nich wieniec przeplatając je w ten sam sposób, jak nauczyła mnie niegdyś moja mateczka.

Doszedłszy do sosny na której wisiał ołtarzyk i gdzie dwukrotnie spotkałem się z Tamarixem, ozdobiłem mym wianeczkiem obraz Matki Boskiej. Upał był wielki dnia tego; usiadłem więc na pnium pod drzewem, żeby trochę odpocząć w chłodzie, i wodziłem oczyma po mchach puszystych zaczy-



NA NIWIE.

nających gdzieś już żółknąć i po gałęziach drzew. Przez luki między drzewami przedzierało się słońce, rozświecając ich głębie i zaglądając w gąszcze. Niektóre smugi kładąc się na ziemi wyglądały jak cienie, a jeden podobny do człowieka, zdawał się być nawet żywym, bo przesunął się z miejsca na miejsce. Wpatrując się w niego uporeczywie, zobaczyłem nawet że ma nogi; była to jakaś stara kobieta zbierająca w płachtę gałęzie. Przypomniła mi ona Syenitę i jej prorocтво, a z tem przypomnieniem zaczęła znów w głowie mojej nurtować zagadka, kiedy i gdzie ją „znajdę to czego nie szukam” — a pamięć znów w odpowiedzi przyniosła mi słowa: „zanim księżyc powtórnie obejdzie swoją drogę naokoło ziemi...” Teraz jest pierwsza kwadra: pełnia będzie za dwa tygodnie. „Zanim” to znaczy, że niekoniecznie trzeba czekać pełni, że się to może stać wcześniej. Im dłużej to rozważałem, tem większy zamęt powstawał w moim umyśle, w końcu doszło do tego, że zacząłem wątpić czy się nie przesłyszałem, czy ona to naprawdę powiedziała. W podziemnym pałacu królewicza Kryształka tyle widziałem rzeczy na bajkę fantastyczną wyglądających, że chwilami nie mogłem odróżnić fantazji od rzeczywistości. Może stałem się ofiarą złudzenia własnych zmysłów, złudzenia które pozbawia mnie spokoju, drażniąc tylko moją ciekawość i budząc grzeszne pragnienie przeniknięcia rzeczy przyszłych, Bogu tylko samemu wiadomych.

— O Syenito! — zawołałem głośno, jak gdyby ona usłyszeć mnie mogła — jeżeli jesteś naprawdę prorokinią i wróżby twoje spełniają się, daj mi znak jaki że słowa twoje nie były tylko grą mojej wyobraźni...!

Czułem się taki osłabiony i zmęczony od upału, że bezwiednie prawie zsunąłem się na posłanie z mchu, oparłem głowę na kamieniu, pokrytym ciemnym porostem i usnąłem. Miałem sen bardzo miły, tak miły, że mi się prawie na płacz zbierało iż nie trwał dłużej. Śniła mi się polanka w puszczy, podobna do tej w której mieszkał cudzoziemiec i taki dworek, a w dworku krzątała się moja mateczka, ale nie taka cierpiąca i blada jak w ostatnich latach swego życia, tylko wesoła, piękna, jaśniejąca zdrowiem i młodością. Obok niej mężczyzna wysoki, szczupły, którego rysów jednak dojrzeć nie mogłem, to był mój ojciec. Ja, mały, bardzo mały, zaledwie odrósłszy od ziemi, bawiłem się z psem wyżłem, siedząc na nim jak na koniu i wołając: Wio! a ojciec i matka śmieli się ze mnie. Pies zwał się Taran. I tak nam było dobrze razem...!

O dobry Boże! Ty co zsyłasz sierotom sny o domu rodzinnym, spraw aby nie budzili się z nich nazbyt prędko do życia...

Spojrzałem na zegarek: była już piąta; spałem całą godzinę. Czas wracać do pałacu! Zerwałem się i spostrzegłem przy kamieniu na którym spoczywałem, wiązkę kwiatów których ja tam nie kładłem. Był to ktoś widocznie, podczas gdy spałem i położył ją przy mnie. Roślinki były niepozorne o drobnych, różowych kwiateczkach w szczupłe kłosa zebranych, o liściach nieco szorstkich, karbowanych, wyglądających jak pierzaste.

— Ach, jesteś nareszcie! — pomyślałem z daleka głos mego przyjaciela Violi. — Szukam cię wszędzie, bo widząc że nie wracasz, przypuszczałem że ci stało co złego, żeś zemdlął w lesie. Byłem nawet na polance, ale nie znalazłem cię. Ale co w twoich rękach robi ziele czarownic?

Spojrzałem na niego zdumiony.

— Ziele czarownic? Ależ to są najpospolitsze wiatulki wszędzie napotykanne, inaczej zwane *werbeny*, jeżeli się nie mylę.

— Właśnie *werbeny*, *Verbena officinalis*, są ziele czarownic. Czyż nie wiedziałeś o tem?

Dreszcz mnie przeszedł. A więc Syenita usłyszała mnie i dała znak...

— Czy ta mała roślinka ma jakie szczególne własności? — spytałem.

— Lekarskich własności odmawiają jej dzisiejsi lekarze, ale starożytni Grecy przypisywali jej Bóg wie jakie! Uważano ją za roślinę wszechmogącą, świętą. Rzymianie wieńczyli nią sobie głowy w chwili składania ofiar bogom, a przy zawieraniu pokoju z innymi narodami, posłowie nieśli zawsze w rękach gałązki *werbeny*. Niepozorne te kwiatki cudów nieraz dokazywały: najzaciętsi wrogowie rzucali się sobie w objęcia, byle tylko w czasie walki zdołano rzucić pomiędzy nich gałązkę *werbeny* — a gdy biesiadnikom przy uczcie humor nie dopisywał, potrząsano nad ich głowami kwiatami *werbeny*, a czoła rozpogadzały się natychmiast i rozwiązywały usta. U starożytnych Gallów, druidowie i druidki, kapłani i kapłanki boga lasów, ścinali z wielką ceremonią *werbenę*, którą rozdzielali pomiędzy lud jako zakład błogosławieństwa. Wreszcie czarownicy i czarownice używali zawsze *werbeny* do swoich czarodziejskich praktyk. Takie są szczegóły historyczne dotyczące tej niepozornej roślinki.

— Należącej do rodziny *wargowych* — dodałem.

— Dla czego do *wargowych*? — zapytał.

— Najprzód łodyga jest kwadratowa; powtórę korona z jednej sztuki, czyli jednopłatkowa i mogłaby nawet łatwo ująć za dwuwargową; potrzenie liście są naprzeciwległe; po czwarte w głębi kielicha widzę cztery owoce czyli ziarenka z których wychodzi słupek widłowy, jak to widziałem w wielu *wargowych* — słowem, są tu wszystkie charakterystyczne cechy tej rodziny.

— Ej, Janku, a czyśmy to niegdyś nie mówili, że u *wargowych* kwiaty wyrastają w miejscu połączenia się liścia z łodygą?

— Ach, prawda! A tutaj kwiatki postępują za sobą wzdłuż łodygi bez liści, więc *werbena* nie jest *wargową*...

— Botanicy dali nazwisko *werbenowatych* tej rodzinie roślin, ale pomieścili ją tuż przy *wargowych*, dla wielkiego z niemi podobieństwa. Ta niepozorna, choć tak sławna w starożytności roślinka, jest jedyną przedstawicielką swej rodziny i swego gatunku na polach atlantyjskich, a wspinała *werbeny* białe, szkarłatne, fioletowe, różowe w ogrodach królewicza Zielonki, są bliskimi krewnami tego ziela czarownic, wyhodowanemi sztucznie przez ogrodników.

— Znam je dobrze — odrzekłem — i nie są one dla mnie żadną nowością. W Dębowej Woli bowiem rośnie ich bardzo wiele w kłobach, a niektóre gatunki nawet są krzewiaste. Czytałem też w jakiejś księdze, że na stepach amerykańskich kwiaty te są olbrzymie i pokrywają szkarłatnemi kobiercami rozległe przestrzenie. Jak to pięknie musi wyglądać!

— Cóż chcesz mój kochany! i między ludźmi nie spotkasz prawie rodziny w którejby nie było bogatych i ubogich, cnotliwych i występnych. Jedni za drugich odpowiadać nie mogą. Ale po niepozornem wyglądaniu tych roślinek, trudno by się domyśleć że tak ważną w czarach grały rolę, nieprawdaż?

— Ziele czarownic... zatem czarownice położyły te kwiaty przy mnie, podczas gdy spałem?

— Więc nie ty je zerwałeś?

— Nie. Obudziwszy się zastałem je przy sobie!

— Hm, chyba przechodziła tędy Syenita, bo ona ma szczególne w *werbenach* upodobanie, i często je z sobą nosi.

Dreszcz mimowolny mnie przeszedł. Jeżeli to ona dała mi znak że jej prorocтво się spełni, więc naprawdę znajdę „to czego nie szukam,” zanim księżyc odbędzie powtórny swoją drogę naokoło ziemi. A taka mnie paliła gorączka i ciekawość, co to będzie, że chciałem aby czas dzielący mnie od tej chwili, minął jak błyskawica. Schowałem na piersi wiązkę *werbeny* z jakimś zabobonem uczuciem, któremu nie mogłem się obronić, jak gdybym chował cenny talizman, choć nie jestem już przecież dzieckiem, abym wierzył w czary.

Ruszyliśmy z podwójnym pośpiechem do pałacu.

Dam nie było dziś wcale przy obiedzie; królewicz obiadował z ministrami po odbytej z niemi naradzie. Większa część



Ziele czarownic.

dworu pojechała z królewiczową i księżną do najbliższego wodospadu w górach; dostojny gość chciał go obejrzeć, bo tam w pobliżu niedawno wytrysnęły źródła gorące. Tam miano obiadować: pojechał więc kuchmistrz z całym taborem ludzi i koni obładowanych zapasami i naczyniami. Po obiedzie królewicz kazał mi sięść na Farysa i jechać do wodospadu do księżnej, z zapytaniem jakaby zabawę urządzić dla niej w pałacu wieczorem. Odpowiedź miałem przywieść natychmiast.

(d. c. n.)

## NA NIWIE.

Brzmi radosna wciąż piosneczka:

„Dana! dana! hop!”

Już ostatni żniwiareczka

Zbiera, wiąże snop.

I podnosząc sierp do góry,

Aż w nim płoną skry,

Woła: Panie! oddal chmury!

Daj słoneczne dni!

Ciepłym wiatrem więj przez pole,

Wstrzymaj słuszny gniew!

Niech złożymy plon w stodole

Na wiosenny siew.

Tam gdzie pracy gleba czarna

Święte oko zwróć!

Z naszą sieją złotą ziarna

W dusze, serca rzuć!

A gdy w jasne wieczne zorze,

Wzniesiem u Twych bram

Wianek z czystych kłosów, Boże,

Pobłogosław nam!

*Ewa Marya.*

## PRZED LAT TYSIACEM.

(Dalszy ciąg).

— Po biesiadzie siedzieliśmy na ogrodowych ławkach, ja właśnie zastanawiałem się jaką niespodziankę przygotowała dla nas złotowłosa Likoryda, gdy muzyka zagrała; kurtyna się podniosła, chłopiec w szkarłatnym stroju stanął na przodzie sceny i pięknym, trzynastomiarowym wierszem oznajmił że będzie widowisko rokoszne: Wykonanie wyroku śmierci na niecnym niewolniku Eurymachusie, który liczne popełnił zbrodnie, a także należy do obrzydłej sekty Nazareńczyków. Znasz mię Kwintusie, wiesz że przed laty walczyłem z Dakami i Germanami, a bogi wiedzą że nie zadrżał nigdy z obawy śmierci; Nazareńczykom nie sprzyjam, a zbrodniarzami się brzydzę. Wszelako ten pomysł Likorydy wydał mi się wstrętnym...

— Cóż dalej? coż dalej? — pytał Kwintus coraz bardziej wzruszony.

— A no, przywiedli na scenę Eurymachusa! Uwieńczone różami, prawie z szat odarty, z plecami poranionymi straszliwie, był blady ale zupełnie spokojny. Tancerki w przeźroczych szatach skakały jak szalone, szarpały go i szczypały, dawały mu policzki wyprawiając przytem najrozmaitsze błazeństwa. Następnie oprawcy przystawili drabinę do krzyża, który tu widzisz, zarzucili Eurymachusowi pod pachy powrozy i podnieśli go w górę... Gdy przecież uderzenie młotka miało wbić pierwszy gwóźdź w ciało, rusztowania z desek otaczające scenę, z ogromnym hukiem runęły... Czterech ludzi z uczernionymi twarzami wpadło jak grom... Schwycili Eurymachusa i znikli... Myślny zrazu myśleli że to należy do widowiska; dopiero na krzyk Likorydy i Stefanusa chma-

ra siepaczy rzuciła się w pogoń za uciekającymi, ale wyobraź sobie w wyjściu stanął olbrzym, istny Kolos Rodyjski, który z niezwykłą zręcznością wywijał ogromnym mieczem... Na scenie wszczął się pożar... Kilkunastu ludzi zaszło z tyłu olbrzymowi, który padł z piersią na wyłot mieczem przeszytą...

— Pyszne zakończenie zabawy! 1 to w cywilizowanej Rzymie, stolicy świata takie rzeczy się dzieją! — rzekł Kwintus spuszczać głowę.

Tymczasem wrócili niewolnicy, którzy byli ściągali Eurymachusa.

— Panie — rzekł jeden zwracając się do Stefanusa — przychodzimy z próżnemi rękami.

— Widzę to — odparł Stefanus — i czemu?

— Przebacz o! panie — błagał drugi niewolnik ze zmęczenia i strachu padając na kolana. — bylibyśmy ujęli zbiegów, gdyby nie pewna przeszkoda...

Umilkł spoglądając na Kwintusa.

Młodzieniec się roześmiał:

— Mów bez obawy.

Niewolnik opowiedział przeto, w jaki sposób Kwintus pogoń na wąskiej ścieżynie zatrzymał. Stefanus bladł za każdym słowem, a Kwintus okazywał lekceważenie w zachowaniu swoim i gestach.

— Czy zeznanie tego człowieka jest prawdziwe? — zapytał Kwintusa Stefanus, gdy niewolnik skończył swoją opowieść.

Młodzieniec potwierdził niedbałym skinieniem głowy.

— Więc to tak było! — szyderczo wybuchnął Stefanus, niezdolny dłużej pohamować swęj złości. — Potomek senatorskiego rodu Klaudyuszów, syn Jowiszowego arcykapłana, wykwinny i dostojny przyjaciel cesarza, dopomaga do ucieczki złoczyńcy! Ha! to rzecz bezprzykładna!

— Milcz wyzwolénce! — gromkim głosem zawołał obrażony młodzieniec. — Milcz! ja, Kwintus Klaudyusz, rozkazuję ci.

Stefanus urodził się niewolnikiem i przez litościwego pana w nagrodę jakiejś usługi został obdarzony wolnością... Wstydił się swego niskiego pochodzenia. Więc też usłysawszy wyraz „wyzwolenénce“ pobladł i zachwiał się; chude jego ręce trzęsły się jak w febrze; po chwili opanowawszy swą złość i zawstydzenie rzekł:

— Nie rozumiem cię, dostojny Kwintusie — a zwracając się do swego niewolnika młodzieńczego cudnej urody młodzieńca dodał:

— Antinusie, ty, czy ktokolwiek bądź, dostawi mi żywcem Eurymachusa dostanie sto tysięcy sestersów. Staraj się rozpowszechnić tę wiadomość; a teraz odchodzę stąd; jestem znudzony.

## VII.

Patrycyusze rzymscy prawie nigdy nie wychodzili na miasto bez klientów swych i niewolników. Więc też i Kwintus Klaudyusz w licznym orszaku z zabawy od Likorydy powracał.

Świtało już skoro doszli do Sabury. Była to niezmiernie zaludniona ulica wyłącznie przez plebejuszków zamieszkała. Wysokość pięcio i sześć piętrowych domów, oraz wąskość uliczki utrudniały dostęp dla światła poranku. Mimo to dzień zaczynał się tutaj bardzo hałaśliwie.

Piekarze zachwalając krzykliwie swój towar ciągnęli z nim ode drzwi do drzwi. Niewolnicy niosący gliniane lampki oraz przybory do pisania wiedli uczniów do szkoły. Z rozmaitych stron dolatywały głosy dzieci sylabizujących, gromady pobożnych spieszyły do świątyni Izdy.

Bliska Sabury, Cypryjska ulica, wspaniała, pusta była teraz i cicha.

Ponad olbrzymim gmachem Termów Tytusa, stada gołębi bujały długo, nagle z niezmierną szybkością ukośnie przefrunęły w poprzek ulicy.

— Gołębie ciągną od lewej strony — rzekł Kwintus do jednego ze swoich klientów — gdybym wierzył w wróżby

otrzymane z lotu ptaków, musiałbym przypuścić że mię spotka nieszczęście...

Zaledwie przebrzmiały te słowa, z za węgla domu wysunął się jakiś zamaskowany człowiek i lśniącem sztyletem ugodził Kwintusa w plecy... Szczęściem złoczyńca poślizgnął się na gładkim bruku, a to osłabiło siłę wymierzonego ciosu: pugnał tylko rozdarł togę i lekko zadrasnął ramię młodzieńca.

Morderca z giętkością pantery przesunął się pośród orszaku i znikł w kierunku ulicy Sabury.

— Nie ścigajcie go! — wołał Kwintus za niewolnikami, którzy ochłonawszy z pierwszego zdumienia i przestachu puścili się za uciekającym złoczyńcą. — domyślam się gdzie ta klinga była wyostrzona, i od tej chwili będę się miał na baczności, A wy moi dobrzy klienci i wy moi słudzy, zamilczcie o tym wypadku, proszę was! Mój dostojny ojciec nie miał by jednej godziny spokoju, wiedząc że jest ktoś w Rzymie, co czyha na moje życie.

Wszyscy przyrzekli uczynić zadość życzeniu Kwintusa, a tymczasem niewolnicy pogasili pochodnie swe i latarnie, a na bezchmurnem niebie pogodny dzień zajaśniał ponad miastem o siedmiu pagórkach. Orszak kapłanów niosących obraz Izdy przechodził ulicą, gdyż uroczyste procesye po mieście były główną cechą czci oddawaną tej bogini.

— Wiedziałem że Stefanus jest zdolny do najnikczemniejszych czynów, ale nie przypuszczałbym nigdy, aby do zadowolenia swój zemsty był taki skory — myślał Kwintus.

Niebawem doszli do domu.

Odźwierny oznajmił młodemu Klaudyuszowi, że jacyś ludzie oczekują na niego:

— Euterpa! — zawołał Kwintus spostrzegając stojących opodal młodą kobietę i siwowłosego, wysokiego starca.

— Bądź pozdrowiony, dostojny panie! — rzekła lutnistka — nie bierz mi proszę za śmiałość zbytnią gdy spytam, czy pamiętasz jeszcze, co mi w Bai przyobiegałeś?

— Naturalnie. Wiedz o tem Euterpo, że żaden Klaudyusz nie zapomina nigdy swoich przyrzeczeń. A ten staruszek, czy to twój małżonek, czy ojciec?

— Mój mąż jest młodszy, a mój ojciec nie żyje. Ten towarzysz, to Thrax Barbatus, ojciec Glaukii.

— Któż to jest Glaukia?

— Czy ja panu nie mówiłam o niej?... tam, na Bajaan-skim wzgórzu?... Widać zapomniałam w nadmiarze boleści... Glaukia jest naręczona naszego Eurymachusa. Ona to dzisiejszej nocy w ogrodzie Likorydy wręczyła panu moję prośbę... Ale, czybyś nie mógł, przeznacny panie — dodała ciszej — udzielić nam kilku chwil posłuchania?

Kwintus skinął i przez atrium weszli do ustronnej komnaty.

— Panie! — zawołała lutnistka całując ręce Kwintusa — przyszliśmy ci wynurzyć wdzięczność za to coś uczynił dla naszego przyjaciela.

— Wdzięczność nie tyle mnie się należy. Barczysty olbrzym jakiś cudów walęczności dokazywał.

Thrax Barbatus podskoczył w górę z szybkością młodzieńca; duma zajaśniała w jego oczach.

(d. c. n.)

## SZARADA.

przez Ewę Maryę.

*Pierwsze, drugie jest mianem uroczystości,  
Skończonej ucztą, bałem;  
Drugie, trzecie gdy biegną, człowiek w starości  
Wspomina dawne z żalem.  
Wszystko dzielnica wielkiego miasta  
Co nad Bosforem wzdłuż się rozrasta,  
Handlem ruchliwa.  
Jak się nazywa?...*

## Łamigłówka kryształowa botaniczna.

Rząd środkowy i środkowe litery następujących wyrazów utworzą nazwę ziela o silnym zapachu, należącego do rodziny wargowych.

1. Spółgłoska.
2. Kwiat z rodziny krzyżowych.
3. Drzewo z rodziny brzoźowatych.
4. Roślina z rodziny komosowatych.
5. Drzewo z rodziny różowatych.
6. . . . .
7. Gatunek grzyba jadalnego.
8. Roślina z rodziny liliowatych.
9. Roślina z rodziny trawowatych.
10. Bulwa rośliny należącej do rodz. bodiszkowat.
11. Samogłoska.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 32-go.

*Szarady:* Po — da — nie.

## Łamigłówki sylabowej:

1. Wędką. 2. Elbląg. 3. Dania. 4. Łuk. 5. Ucho. 6. Granit. 7. Sroka. 8. Tanger. 9. Arno. 10. Wylew. 11. Ura. 12. Ganges. 13. Runy. 14. Ormuzd. 15. Bar. 16. Lineusz. 17. Alpy.

Według stawu grobla.

## SZKOŁA

Haliny z Leszczyńskich Tokarzewskiej,

SZKOLNA Nr. 8 PRZY ZIELONYM PLACU.

Nagrodzona srebrnym medalem, udziela lekcji rysunków, malowania, rzeźby pod kierunkiem artystów rzeźbiarza i malarza. W oddziale rękodzielniczym są lekcye sztuki stosowanej, oraz wszelkich rzemioł korzystnych dla kobiet. Szkoła przyjmuje pensyonarki dorosłe i małoletnie dziewczątka, dla których są oddzielne wykłady.

## PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

**TREŚĆ:** Nowe miasto nad Pilicą (z drzew.) — Wyjątki z książeczki Władzia p. Z. Morawską (dokończenie). — Z wyspy Atlanty, czytała przez drobnowidz i przepisała Zofia Urbanowska. — Na niwie, wiersz p. Ewę Maryę (z drzew.). — Przed lat tysiącem. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Pacierz wieczorny, wiersz p. Helenę Bojarską (z drzew.). — Kwiat cioci, z prawdziwego zdarzenia opisała Bronisława Porawska. — Bazańty p. Cioć Rózię. — (z drzew.) — Przygoda z muchą. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Zwalczone uprzedzenie, powieść p. Karoliny Yonge, przekład z angielskiego T. P.

# WIECZORY RODZINNE.



## PACIERZ WIECZORNY.

Boże, Boże z Twojej łaski  
Świeciły mi słońca blaski,  
Oglądałam dzionek biały,  
Niebo, ziemię i świat cały,  
Za to wszystko wielki Boże,  
Dzięki składam Ci w pokorze.  
Już cień nocy ziemię mroczy,  
Wkrótce sen mi sklei oczy,  
Lecz nim zasnę przyjmij, Panie,  
Moję prośbę, me błaganie,  
Udziel pieczy i pomocy  
Jako we dnie tak i w nocy!

*Helena Bojarska.*

## KWIAT CIOCI.

z prawdziwego zdarzenia  
opisała BRONISŁAWA PORAWSKA.

(Dokończenie).

— Nie obawiajże się kochane dziecko że cię zastałam w salonie, wprawdzie wzbraniałam bawić się tu dzieciom aby nieumyślnie nawet nie zrobiły jakiej szkody, ale ty Joanko jesteś tak rozważną i grzeczną, że zawsze tu wejść możesz ile razy zechcesz. Chodź, pokażę ci mój śliczny kwiat, nie mogę się nim dość nacieszyć.

Dodatek do N. 34, 1891 r.

Joanka przycisnęła lalkę do piersi, głos jej wiał w gardle, nie mogła słowa przemówić, ani się z miejsca poruszyć.

Ciocia przechodząc pocałowała ją w czoło, objęła ramieniem i poprowadziła do okna.

Naraz, ktoś wypowie co się działo z Joanką, gdy ciocia spostrzegłszy pustą łodygę, nie mogła powstrzymać okrzyku oburzenia i żalu.

— Co? mój kwiat zerwany? kto to mógł uczynić?!

Spojrzała na Joankę, której blada twarzyczka i oczy łzami zaszele nadto wskazywały winowajczynię.

— Niedobre dziecko! — rzekła ciocia ochłonawszy już po pierwszej chwili strapienia — jak mogłaś zrobić mi tak wielką przykrość?

Dziewczynka opuściła rączki, a kwiat słabo przypięty upadł u nóg cioci, która go podjęła.

— Krótko cieszyłam się tobą — rzekła patrząc na kwiat z odcieniem żalu — a czy mogłam przypuścić, że to ty Joanko zrobisz mi taką przykrość? Gdyby to Florcia uczyniła mniejby mię to dziwiło, ale ty o której sądziłam że mnie kochasz.

— Ciociu! — zawołała Joanka — o nie mów tylko że cię nie kocham, bo to... bo to... bardzo boli.

I dziewczynka z płaczem rzuciła się do kolan ciotki, W obec serdecznego żalu dziecka, znikła zupełnie gorycz z serca cioci.

Gdy Joanka weszła do dzieciennego pokoju, gdzie przerwana została zabawa podczas jej nieobecności, wszystkie dzieci ujrawszy ją wchodzącą zawołały!

— Joanko, co ci? taka jesteś blada, zmieniona.

— Nic, nic, doprawdy — odparła spoglądając na smutną minę Florci, która siedziała przy stoliku podparta głowę na rączkach, bo przez uchylone drzwi widziała jak ciocia weszła do salonu, gdy Joanka stała z lalką i zerwanym kwiatem.

— Wyda się teraz wszystko — myślała Florcia — Joanka powie i ciocia po tylu już awanturach i psotach tego mi nie przebaczy.

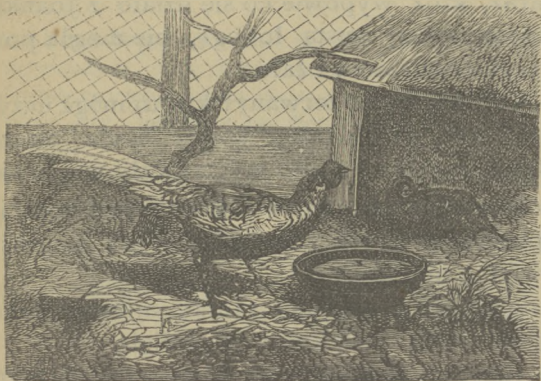
Nic się jednak nie wydało. Lecz gdy przed wieczorem siedziała cichutko w małej altance w ogrodzie, rozmyślając co skłoniło ciocię że jej nawet nie połąjała, usłyszała jak wujostwo chodząc po ogrodzie rozmawiali o poniesionej stracie i dziwili się, że Joanka dopuściła się czegoś podobnego.

Wujostwo odeszli, a Florcia siedziała nieruchoma na miejscu, serduszko jej biło mocno, a po twarzyczce łzy płynęły strumieniem. Joanka jej nie wydała, całą winę wzięła na siebie, naraziła się na gniew wujaszka, a nie poskarżyła, nie powiedziała że jest niewinna!¶

Serce dziewczynki stopniało nagle, uczuła wielką miłość dla Joanki, której tyle razy w życiu dokuczyła, uczuła jak była złą dla niej, pobiegła do cioci, wyznała jej całą prawdę. Ciocia wybaczyła żałującą i przyrzekającą poprawę dziewczynce.

Florcia odtąd zmieniała się zupełnie, Joankę kochała serdecznie, a była tak dobrą że i rodzona siostra lepszą być nie mogła. Gdy rodzice wrócili, Florcia pierwszego zaraz wieczoru opowiedziała im wszystko, czem jeszcze więcej zjednała ich serca dla sierotki.

Panienki już obiedwie dorosły, kochają się zawsze serdecznie, ubierają jednakowo, i niktby nie poznał, że to nie rodzone siostry.



## BAŻANTY.

— Bażanty uchodzą za wielki przysmak, niepraważ ciociu Róziu — mówił Janek pewnego dnia pokazując cioci powyższą rycinę.

— Tak jest Janku.

— A dla czego mama nie daje nam nigdy pieczonych bażantów? — zastanowiła się Mania.

— Bo bażanty u nas są bardzo rzadkim ptakiem, Marynko, nie znoszą naszej białej, mroźnej zimy i dla tego ludzie trzymają je wtedy w domach naumyślnie dla bażantów zbudowanych; na wiosnę zaś, gdy już zielenią ziemia porośnie, wypuszczają te delikatne ptaki na świeże powietrze, lecz i wtedy trzymają je w ogrodzeniach otoczonych siatką drucianą, aby nie rozbiegły się i nie padły pastwą lisów, kun, nawet psów. Bażanty bowiem długo lecieć nie mogą, a nie dość szybko biegną, by uciec mogły przed pogonią. Widzieliście nieraz kury, które uciekają przed rozswywołonym Burkiem.

— Widzieliśmy — zawołały dzieci — kura ucieka to fruując, to biegnąc, a gdacze wtedy tak głośno, jak gdyby ratunku wzywała.

— Burek szczeka — dodała Mania — aż wreszcie ktoś na ratunek kury przybiegnie.

— Otóż bażanty tak są do kur podobne, że w zoologii zapisano i kury i bażanty do jednego rzędu grzebiących.

— A przecież kury i koguty nie mają takich długich ogonów, jak ten bażant na obrazku.

— To prawda — odpowiedziała ciocia — lecz jest to tylko jedna różnica między kurą a bażantem, gdy tymczasem obok tego istnieją inne wielkie podobieństwa, widzimy u nich jednakowy dziób twardy i obszerny, do przegryzania ziarn wyborny, też same nogi zakończone czterema palcami z których jeden w tył odgięty, a wszystkie zakończone są ostre pazurami dla łatwiejszego

grzebania w gruncie, z którego wybierają sobie ziarna, owady i robaki i niemi się żywią.

— A skąd sprowadzono do nas bażanty? — zaga-dnęła Mania.

— Z Azji. Podobno pierwsi sprowadzili je sobie starożytni Grecy. Upierzenie bażantów bywa też różne. Jedne mają pyszne brunatne pióra ze złotym połyskiem, inne pióra popielate jakby srebrne, inne wreszcie nie mają na piórach szarych metalowego połysku; te ostatnie nazywamy bażantami zwyczajnymi. W Europie po wielkich parkach trzymają bażanty właśnie dla piękności ich piór, jako ozdobę ogrodów, i dla polowania na nie.

Do rzędu grzebiących ptaków należą także i pawie, i indyki i różne smaczne ptaszki jak np. kuropatwy, jarząbki, które po polach i lasach przebywają.

— Wie ciocia — odezwał się Janek po chwili namysłu — te bażanty zamknięte w drucianych więzieniach wołałyby pewnie powrócić do Azji gdzie byłoby im cieplej i swobodniej. Ja ciociu nigdy dla zabawki nie wziąłbym ptaków.

— Kocham cię za to Janku, a ty Maniu, pewnie nie chciałabyś także ani ludziom ani zwierzętom przykrości sprawiać?

— Bez wątpienia ciociu — żywo odparła dziewczynka.

Ciocia na pożegnanie uściśkała dobre dzieci.

*Ciocia Róziu.*

## PRZYGODA Z MUCHĄ.

Dziesięcioletnia Ewunia siedziała przy stole pod oknem i uczyła się tabliczki mnożenia. Dobrze byłoby, żeby można dodać „uczyła się pilnie“, jak zwykle w powiastkach o grzecznych dzieciach, ale niestety, Ewunia nie zawsze była grzeczną i nie uczyła się teraz pilnie. Obiedwie opalone rączki zagłębiła w gęstej, ciemnej czuprynie, tworząc z niej coś nakszałt stracha na wróble i jednostajnym, znudzonym głosem powtarzała wciąż w kółko: „dwa razy dwa, cztery“, dwa razy trzy, sześć“, „dwa razy cztery, ośm“, czasami jednak było także „dwa razy dwa—ośm“, „dwa razy trzy—cztery“, albo — „dziesięć“ jak się udało, bo Ewunia myślała więcej o zabawie, i gonitwach w ogródku, niż o nieszczęsnej tabliczce mnożenia. Zamiast w zeszyt spoglądała w niebo pogodne, niebieskie, niczem jej turkusowe oczki, na zielone wierzchołki starych drzew kołysane miarowym, poważnym ruchem i na liczne stada wron, szybujących w ciepłym, jesiennym powietrzu.

Ewunia marszczyła brewki i wzdychała smutnie w tęsknocie za rozkoszną wolnością minionych dni; niedawno jeszcze wesola i swobodna jak młody żrebackek hasała niestrudzona po lasach i polach, skacząc i śpiewając na wyścigi z kosami i pliszkami, ale zabawa wiecznie trwać nie może. Wiemy o tem wszyscy i dowiedziała się także Ewunia, gdy minęły chwile nieodżałowanych wakacji i trzeba było znowu zabrać się do pracy.

A ciężka to była praca; wiadomo jak letnie powie-

trze z dziwną łatwością wyciąga z główek naładowane tam z trudem w zimowej porze różne pożyteczne wiadomości! Żebyż ono w równiej mierze pochłaniało rozliczne wady byłoby jeszcze pół biedy, ale gdzie tam: roztrzępianie, upór, lenistwo i całe ich godne towarzystwo pozostały, jak były, za to tabliczka mnożenia wywietrzała całkowicie i ciocia Urszula kazała powtórzyć ją „zupełnie dobrze“ na jutrzejszą lekcję.

— Hm, zupełnie dobrze — mruzczała Ewunia pod nosem — łatwo cioci mówić, kiedy już wszystko umie! Jak ja będę duża, to i mnie nic się nie będzie zdawało trudnem...

Po tych słowach wyjęła z kieszonki żółtą i rumianą bursztówkę, mało co bledszą od jej świeżej buzi i zanurzywszy w nią dwa rzędy ostrych jak u myszki ząbków, smaczno chrupać zaczęła na pociechę. Po jabłku nastąpiło ciastko z konfiturami z obiadu, dalej garść rodzenków i migdałów zabranych ze spiżarni, następnie ukazała się chustka do nosa, nosząca widoczne ślady zażyłej przyjaźni z atramentem, wreszcie pusty spód kieszonki.

Ewunia starannie wytrząsnęła wszystkie okruszynki, wytrzeptała chustkę i wzmocniona tym posiłkiem ze świeżym zapasem sił zabrała się do nauki.

„Dwa razy dwa“, „trzy razy pięć“, „cztery razy ośm“, języczek jej żwawo obracał się w buzi, doszła już do „pięć razy pięć“, ale przeznaczonem było widocznie że dzisiejsza tabliczka nie obejdzie się bez nadzwyczajnych przygód. W chwili największego zapału zdarzyła się nowa przeszkoda w postaci gwałtownego brzęczenia nad samem uchem Ewuni, aż przerażona dziewczynka podskoczyła na krzeselku. Powodem tego brzęczenia i niespodziewanej przerwy była duża mucha o granatowym odcieniu, która zwabiona słodkimi resztkami ciastka zbierała je gorliwie, podśpiewując sobie wesoło, bz... bz... bz... jako istota zadowolona z losu przynoszącego jej smaczne kruszynki na podwieczorek.

— Ach, ty szkaradny łakomcze! — zawołała Ewunia, machając ręką.

Mucha z gniewnem mruknięciem umknęła na okno, za chwilę jednak powróciła niezrażona złem przyjęciem i z wieczną swą śpiewką bz... bz... bz... zabrała się znów do posiłku.

— No, już ja cię oduczę łakomstwa—szepnęła Ewunia, zapominając, że dziewczynki, które gospodarują w spiżarni w nieobecności cioci, w niczem nie stoją wyżej od much, zbierających niepotrzebne nikomu kruszynki, jednocześnie też nakryła zgrabnie granatową jejmość małą pokrywką od kałamarza.

— Siedź sobie teraz — rzekła uradowana i nie zważając na rozpaczliwe, coraz jękliszsze bzzz... uwięzionej, uczyła się dalej spokojnie.

Nagle przyszła jej chętka pobujać się trochę na siedzeniu, spojrzała dokoła, nikt nie widzi, cioci niema, a więc dalej: przechyliła krzeselko, wsparła łokcie na stole, wtem... prędkim ruchem potrącona pokrywka przewróciła się, a oswobodzona mucha z tryumfem spoczęła na szybie. Zajęła się zaraz pilnem muskaniem skrzydełek zgniecionych trochę w ciasnem więzieniu, rzucając przytem szydercze spojrzenia na podrażnioną dziewczynkę, która z gniewem zerwała się z miejsca.

— Czekaj! — krzyknęła groźnie i pochwyciwszy kantówkę w jednej chwili znalazła się na stole.

Nie należy jednak sądzić, że Ewunia żywiła w sercu jakie srogie zamiary względem skrzydlatej nieprzyjaciółki, że miała ochotę zgniebić ją ostatecznie, o nie! dziewczynka chciała tylko za pomocą kantówki urządzić wał obronny, za którym łatwiej przyszyłoby jej schwytać zuchwałą muchę, ażeby następnie osadzić ją w pewniejszym więzieniu. Uklękła na oknie, przycisnęła przeciwniczkę w samym kącie framugi i wszystko zapowiadało się doskonale, ale nieszczęściem Ewunia zapomniała o jednej, dosyć ważnej rzeczy, mianowicie, że ludzie nie wpadli dotąd na dowcipny pomysł wyrabiania szyb z żelaza. Za naciśnięciem kantówki dał się słyszeć trzask tłuczonego szkła, wystraszona mucha, nie czekając dłużej, uciekła czempredzej na sam szczyt firanki, narzędzie kary wypadło z rąk dziewczynki, a i ona sama o mało nie znalazła się pod stołem z wielkiego przerażenia.

Po pierwszej chwili niemego przestachu przyszła jednak rozważa, a z nią pewne uspokojenie, Ewunia nabrała lepszej otuchy. Szczęśliwem zrządzeniem losu szyba pękła tylko, w pokoju nie było nikogo, oprócz kilkunastu much, które choćby chciały może, nie zdradzą jej z pewnością, któż więc odgadnie imię prawdziwej winowajczyny? Szyba wypadnie sobie kiedy najspokojniej przy myciu, lub otwieraniu okna, a wtedy bardzo naturalnie nikt jej nie będzie podejrzewał.

(d. c. n.)

## SZARADA.

Od Słonecznika polnego dla Ludwiczka.

Pierwsze to woda gorąca — drugie ciszę nakazuje,  
Trzecia z drugą rzecz nie nasza — wszystko razem  
W jedną całość połączone, każden pewno już zgaduje,  
Że to miasto, zwie się... nie zdradzę się ni wyrazem.

## ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

ułożył Stefan K.

Z następujących salab: ba—bro—bug—dan—el—e—ga—mi—na—ru—pro—me—wa—ro—da—ron—san—sna—ta—u—za—a—ułożyć nazwy: 10-ciu rzek w Europie tak, aby początkowe litery czytane z góry do dołu utworzyły nazwę stołecznego miasta.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 32-go.

Szarady: Wie — wiór — ki.

### Łamigłówki kryształowej: J

	S	a	n
M	a	n	n
J	a	n	i
K	a	n	i
O	k	o	
	a		

## Skrzynka do listów.

Wdzięczni jesteście kochanemu **Obserwatorowi**, że tak pilnie strzeże poprawności wyrażen w naszym Piśmie; tym razem jednak przez zbyt gorliwość uczynił nam uwagę, której słuszności nie uzna nikt, dobrze znający język. Sałata, jadana czy to na surowo, czy gotowana (jak ją we Francji i Niemczech jadają) *jest jarzyną*, tak samo jak kalafior, ogórek, szpinak, kartofle i t. p. rośliny jadalne; kolor bowiem jarzyny nie ma nic wspólnego z jej nazwą. *Zielenią* nazywają w niektórych okolicach kraju chwasty zbierane na pożywienie dla trzody; jeżeli zaś ta nazwa stosowana bywa kiedy do potraw, to tylko w znaczeniu lekceważącym.

Przyjemnie nam było przeczytać liścik kochanej **Tunguzki**, tak porządnie napisany; prośbę spełniliśmy.

**Prawdzie** należy się odpowiedź obszerniejsza; otrzyma ją niedługo, tymczasem zaś dziękujemy za zaufanie, z jakim się do nas zwraca.

**Stokrotka z nad Stochodu** ma już zapewne w tej chwili list nasz w ręku.

Nie, **Trawko z nad Fryby**, nie zapominamy dobrych znajomych. Żądany numer wysłaliśmy; obie cieszące się sobą wzajem przyjaciółki pozdrawiamy serdecznie.

**Jodełce z nad Noteci** ślemy podziękowanie za wyrazy przywiązania, w których szczerze tak nam miło wierzyć.

Temu **Ptaszkowi**, który wylatując na wieś pamiętał pocztowie o pozbawionych świeżego powietrza i przysłał ofiarę na kolonie letnie, ślemy wyrazy podziękowania w imieniu obdarowanych, w swoim zaś uścisk serdeczny, należy takim pocztowym ptaszynom.

Liścik **Niezapominajki z nad Warty** odebraliśmy, ale długo on chyba poczeka na kolej; postanowiliśmy bowiem pozbyć się podczas wakacji wszelkich zaległości. Tę samą odpowiedź niech do siebie zastosuje **Jesień**, której siostrzyczce przesyłamy „Szczęść Boże“.

Kryptogram **Paproci z nad Utraty** nie nadaje się do druku, bo nie możemy dojść jakiej się zasady trzymała, układając go.

Kochana **Złota Pszczółko**, liściki wszystkie po kolei drukować będziemy; czekaj więc cierpliwie, a kto uważnie przeczytał prośbę naszą, wie z pewnością że po skończeniu wakacji dopiero liściki do korespondentek nadsyłać można, mamy ich bowiem jeszcze spory zapas.

Kochana **Tęskna Dumko i Hajduczko**! Szczerze pragnę z wami korespondować, kochane siostrzyczki. **Tęskna Dumko**! Dziękuję ci stokrotnie za liścik. Donoszę ci, że mam lat 10, na imię mi Zosia. Uczę się w domu, w Wieczorach najlepiej podoba mi się Królowa Szwedzka zajmują mnie też losy młodej Angielki. **Hajduczko** miła! Upodobania nasze się zgadzają. Więcej dowiesz się z listu do **Tęsknej Dumki**. Proszę was pisujcie do mnie, to się bliżej zapoznamy. Przesyłam wam serdeczne uściśnienia. Wasza **Kujawianka**.

Kochana **Brzydotko z nad Tamizy**! Zazdroszczę ci bardzo pobytu w Ameryce, gdyż pragnęłabym niezmiennie zwiedzić tę część świata. Mieszkam na wsi, mam lat trzynaście i... bardzo cię kocham. Czy masz rodzeństwo? Bo ja mam dwie siostry i dwóch braci. Jeżeli zechcesz ze mną korespondować to będę bardzo zadowolona. Całuję cię tymczasem serdecznie również i znajomą mi **Rybkę z Hniłopiaty i Białą Perelkę**. *Marzenie poety*.

Piszę do ciebie kochana **Macierzanko**, w nadziei że zechcesz mi odpisywać prędzej jak inne panienki, skoro się uskarżasz że ci one nie odpowiadają. Jestem w twoim wieku, na imię mi Zosia, mam cztery siostry, a mieszkam w Pilźnie w Galicyi. Uczę się w domu najlepiej lubię historię. Proszę donieść mi co o sobie i nie daj długo czekać na odpowiedź kochającej cię **Góralce**.

Kochane moje **Sarenko, Litwinko z nad Szczary, Sosnowa Igielko, Chmurko wiosenna i Różowa Jutrzenko**! Dziękuję wam

za liściki, które sprawiły mi wielką przyjemność. Znam tylko z opowiadania **Nuścię M.**, i bardzo ją pokochałam; kwiaty lubię niezmiennie. Pisuj częściej **Litwinko**. Gdzie przepędzasz wakacje? Napiszcie do mnie **Sosnowa Igielko, Chmurko wiosenna i Różowa Jutrzenko**. Donieście wszystko o sobie, oraz co wam się w Wieczorach najwięcej podoba. Gdzie lepiej przebywać na wsi, czy w Warszawie? Milion serdecznych całusów przesyła wam **Niezapominajka z nad Warty**.

**Droga Jaskółko z nad Bohu**! Jak ci na imię? Mnie **Ewunia**. Co ci się najlepiej podoba w Wieczorach, bo mnie „Z wyspy Atlanty“, gdyż bardzo lubię kwiaty. Ściskam cię serdecznie i proszę o prędką odpowiedź. *Kukulka*.

**Miła i kochana Brzydotko z nad Tamizy**! Dziękuję ci serdecznie za liściki i życzenia i najlepsze przesyłam nawzajem. Donieś mi czy nie bałaś się jechać morzem? Jest wiele ciekawych rzeczy do widzenia w Ameryce nieprawdaz? Czy ci się tam wszystko podoba? Całuję cię i proszę odpisz szczerze cię kochającej **Iskierce z pod Lublina**.

**Kochana Topolko Nadwiślańska**! Z listu twego do **Pszeniczki** domyślam się że mieszkasz pod Sandomierzem, we wsi **Mo...** Donieś mi koniecznie moja **Droga Topolko** czy domyślasz się kto jestem? *Żabka z suchej wody*.

**Miła, sędziwa Sarenko z nad Moroczu**! Jak ci na imię i gdzie mieszkasz? Z nauk najwięcej lubię historię, literaturę i botanikę. Pielegnuję też rozmaite rośliny w doniczkach, a w lecie sadzę mnóstwo kwiatów w ogrodzie. Oprócz tego jeżdżę konno i mam dwa kucyki, któremi czasem powożę, lecz zwykle moja siostra i siedmioletni braciszek zastępują miejsce woźnicy. Spodziewam się że twój sędziwy wiek nie przeszkodzi ci odpisać mi prędko i donieść nawzajem wszystko o sobie również jak i ty **Wróżbiarko** szczęścia zechciej przynajmniej zaznajomić się ze mną przez Wieczory. Proszę cię więc donieść mi coś o sobie. Tymczasem ściskam was serdecznie. *Pokrzywka Wolińska*.

**Kochana Niezapominajko z nad Warty**! Czy ci się tak jak mnie podoba „Z wyspy Atlanty“? Donieś mi może co o sobie. My chodzimy na lekcje śpiewu dyrektora N., a że chór cały wielkie postępy czyni więc występował w Towarzystwie Muzycznym. Twoja *Cherubinka*.

**Milutka Marylko z nad Warty**! Twój liścik bardzo mnie ucieszył. Na imię mi **Marysienka**, jestem w 3-cięj klasie, a ty gdzie mieszkasz? Jaką naukę lubisz najlepiej? Ja geografję i arytmetykę. Odpisz mi jaknajprędzej, a ucieszysz życzliwą ci **Macierzankę**.

**Milutka Kuropatewko z nad Warty**! Dziękuję ci bardzo za tak prędką odpowiedź. Co porabiają twoje kurki? Czy podoba ci się opowiadanie o małej Maggy? Odpisz mi i przyjmij serdeczne uściśnienia od *Kukulki z pod Lublina*.

**Kochana Cairo**! Wszystko na ziemi, zatem i liściki w „Skrzynce“ ulegać muszą pewnej kolei, prawda? Widzisz więc, że nie „świat“, jak sądziłaś przyczynił się do mego milczenia, a nawet chociaż jestem w jednym wieku z tobą, epoka w której nań wejrzałam jest już tak odległą, że nie doznaję zbyt silnych wrażeń. Niedawno widziałam się z **Lorcią**, która twierdziła, że jesteś dużo poważniejszą odemnie. Przekonamy się o tem może kiedyś poznawszy się. Przeczuwam, że liścik mój znowu obciętym zostanie, ale cóż na to poradzić, **Cairo**? Jest wprawdzie jeden sposób — jaki? domyśl się i donieś niedługo moja miła **Anulko** życzliwej *Wiochnie z pod Lublina*.

**P. S.** Serdeczne pozdrowienia: **Błyskawicy, Stokrotce z nad Stochodu, Śnieżycy, Krasnolicy i Westalce** wraz z siostrami.

**Kochana Macierzanko**! Twój pseudonym się mnie najwięcej podoba. Mieszkam na Podolu, nazywam się **Julcia**, mam lat 11. Odpisz mi proszę. *Kwiatek polny*.

Niech która z was kochane panienki napisze do mnie. Mam lat 13, uczę się w domu, na imię mi **Kazimiera**. Cienka **Tyczko**, znamy się doskonale. Czekam odpowiedzi i ściskam was serdecznie. *Kwiat agawy*.